

## KRÓTKI ESEJ NIE TYLKO O SZTUCE

*Operari sequitur esse* – jaki byt, takie działanie, twierdzili scholastycy. Stąd już tylko krok do marksistowsko-leninowskiego bytu określającego świadomość. Dwa ideologiczne bieguny, ale wnioski bliskoznaczne i jednak sensowne, czego dowodzi historia, a nawet zwykła obserwacja konsumpcyjnego stylu życia współczesnej tzw. ludzkości i jej „intelektualnych” czy „artystycznych” produktów. I chociaż jest wiele dowodów na prawdziwość twierdzenia przeciwnego, zgodnie z którym to świadomość określa byt, w przypadku mas raczej mają klasycy.

Już blisko sto lat temu Witkacy przepowiadał, że sztuka zginie, stanie się zbędna dla szczęśliwych i tępych mas ludzkich. Rzeczywiście, sztuka w jego pojęciu to relikw, niczym miłorząb albo skrzepłopywka bagienna, zaś to, co się sztuką powszechnie nazywa, niewiele ma z nią wspólnego. Fakt, że dziś nadaje się miano dzieła wytworom intelektualnej i warsztatowej mizerii, dowodzi lenistwa, głupoty oraz tęsknoty przeciętniaków do elitarności (która to elitarność jest przecież kwestią intelektu, a nie umowy półgłówków czy pieniędzy, o czym się zapomina). W mojej filozofii sztuka nie jest możliwa, póki przeciwstawieniem rozumu, konstrukcji, wiedzy, systemu pojęciowego jest przypadek, nieuctwo, łatwizna, geścjarstwo. Niestety, fakty są, jakie są – współcześni twórcy, krytycy, odbiorcy tak zwanej sztuki, w przytłaczającej większości już nie myślą, nie uczą się, nie czytają, tylko bezrozumnie przyjmują w swym umysłowym zaparciu absurdalną tezę, że wszystko jest sztuką, szczególnie, gdy powie się o tym w telewizji, skarbnicy mądrości współczesnego *Homo consumatus felix*.

W latach sześćdziesiątych XX wieku ideologowie rozruchów studenckich bredzili o rewolucyjnej nauce, czyli takiej, w której można głosić wszystko i niczego nie uzasadniać. Patrząc na dokonania współczesnych – z przełomu XX i XXI wieku, humanistów, szczególnie zaś krytyków sztuki i literaturoznawców, można stwierdzić, że słowo stało się ciałem. Niektórzy z nich poszli nawet dalej w przekraczaniu barier śmieszności. Zazdroszcząc przyrodnikom pewności ich twierdzeń i ścisłości metod badawczych, niefrasobliwie wygłaszają i naiwnie uzasadniają własne sądy, czego nikt, kto posiada elementarną wiedzę i zdrowy rozsądek, nie może traktować poważnie, chyba że pociąga go nędza pseudonaukowości. Specyficzna materia wymaga specyficznej metodologii, ale zawsze opartej na wiedzy, logice i pracy, o czym współcześni humaniści często zapominają, pławiąc się w bezużytecznym, niespójnym gadulstwie. Ten rak nieodpowiedzialności i bezsensu dał już przerzuty, toczy różne dziedziny ludzkiej aktywności, a pośród nich sztukę, którą nazywa się wszystko, co jest lub się dzieje dookoła, i która nabrała charakteru wygłupu lub wulgarnej rozrywki. Gwoli ścisłości: jeśli nie jest to za moje – podatnika, pieniądze, nie funkcjonuje w (tutaj niezwykle modne określenie) przestrzeni publicznej, narażając mnie na niechciany a ohydny kontakt, nie mam nic przeciwko przybijaniu genitaliów do krzyża czy gwiazdy Dawida, malowaniu płótna na szaro, sikaniu czy obieraniu ziemniaków w galerii, rzempoleniu, wyciu, stękananiu, wygibasom, kretyńskim wierszom o niczym i innym odchodom, włącznie z własną kupą Piera Manzonięgo w puszcze dopóty, dopóki nie nazywa się tego sztuką. Dzięki temu, co czynimy, dowiadujemy się, czym jesteśmy – to bodajże G. W. Leibniz. Aż strach pomyśleć, że ma rację.

Współcześnie termin sztuka i dzieło sztuki są w zasadzie równoznaczne, ale, wbrew powszechnemu mniemaniu, już nie tożsame z pojęciem piękna – i w ogólnych rozważaniach można to uznać. Precyzując jednak nieco tę myśl, należy stwierdzić, że sztuka to składowa kultury, z mierzająca do stworzenia dzieła sztuki, oraz, że dzieło sztuki nie musi być piękne – czasem przecież jego potworność wywołuje wrażenie estetyczne czy

metafizyczny niepokój. Ale co właściwie pojęcia „sztuka”, „dzieło sztuki” oraz „piękno” znaczą i znaczą? W ujęciu antycznym za sztukę uważano każdy przejaw rzemieślniczej sprawności i umiejętności. Szewc, rzeźbiarz, wojskowy strateg, cieśla, dramatopisarz, garncarz czy architekt, wszyscy uprawiali sztukę w równym stopniu, opartą na harmonii układu i proporcjach, czyli pięknie. Sztuki natomiast nie uprawiali poeci – oni byli na wyższym szczeblu wtajemniczenia, wieścili, ich miejsce znajdowało się bliżej filozofii, szczególnie etyki, co w końcu zrozumiał nawet Platon. W średniowieczu dzielono sztuki na wyzwolone, których uprawianie wymaga wysiłku umysłowego, i które ze sztuką w naszym pojęciu nie miały nic wspólnego (były to nauki: logika, geometria, muzykologia, gramatyka, retoryka, astronomia, geometria) i pospolite (*vulgaris*), mechaniczne, do których zaliczano np. sztukę handlu, leczenia, ubierania, zaś na samym końcu, i to niechętnie, sztuki plastyczne. Poeci nadal byli natchnionymi wieszczami i filozofami. U schyłku starożytności i w czasach nowożytnych wprowadzono do sztuki pojęcie piękna jako zjawiska czysto estetycznego – wąskie, subiektywne i względne, z którym, już w odrodzeniu, właściwie sztukę utożsamiano. W połowie wieku XV we Włoszech odrodzenie było w pełnym rozkwicie, nastąpiło wyodrębnienie sztuk pięknych i wyeliminowanie ze sztuki rzemiosła oraz nauki; poezja ciągle jeszcze zajmowała uprzywilejowane miejsce. Pod koniec XVII i w XVIII wieku wielkiego znaczenia w sztuce nabrało przeżycie estetyczne – pojęcie równie nieściśle jak piękno. W wieku XVIII stosowano już powszechne pojęcie „sztuki piękne”, do których zaliczano malarstwo, rzeźbę, muzykę, poezję, taniec, nieco później dodano jeszcze architekturę i wymowę. Wiek XIX i początek XX to (z wyjątkami, np. dadaizmu, futuryzmu itp. żartów) sztuka oparta na smaku, wyobraźni, przeżyciu, ale i na racjonalnym myśleniu; pojęcie „sztuki piękne” stało się równoznaczne z pojęciem „sztuka”. Współcześnie za sztukę uważa się dowolny przedmiot, gest, literacki bełkot, nawet życie z jego fizjologicznymi przejawami. Nie potrzeba wiedzy, umiejętności, nawet talentu – wystarczy chcieć i wszystko, niestety, może być sztuką. Jest to jedynie kwestia umowy tzw. krytyków i tzw. twórców, rzecz jasna nie poparta jakimkolwiek systemem pojęciowym. To już nawet nie kwestia smaku, który wymaga jednak pewnej wiedzy i obycia. A skąd wiedza i obycie w czworakach, które nazywa się teraz salonami, pośród pozornych elit, które czytają co najwyżej wyciągi z konta lub napisy na metkach od ubrań? Demokracja, relatywizm, nieuctwo i wygoda sprawiły, że słowa nie określają rzeczywistości, tylko ją zaczarowują. Ale czary są dobre dla umysłowości infantylnych, rozdziawiających w zachwycie gęby na widok jarmarcznego kuglarza. Ja uparcie pozostanę wierny zdrowemu rozsądkowi i kulturowemu dziedzictwu. Dlatego, celem oczyszczenia języka i uporządkowania chaosu pojęciowego, wprowadzam arbitralną definicję, według której dziełem sztuki jest dowolny celowy wytwór człowieka o pierwotnym przeznaczeniu nieużytkowym, posiadający wartości estetyczne i intelektualne oraz etyczne, zaspokajający odpowiadające im potrzeby, powstały w wyniku syntezy wiedzy, zdolności i umiejętności, który jest przejawem intelektualnej niezależności twórcy, jego wolnej woli, nietzscheańskiej „Wille zur Macht” i chęci ich zaspokojenia. Warunkiem koniecznym jest, aby wystąpiły przynajmniej dwie pierwsze z powyższych wartości, w sposób wyraźny i jednoznaczny. W ten sposób zawężam pojęcie dzieła sztuki do prac istotnych i elitarnych, nadając mu charakter znacznie bardziej obiektywny niż w dotychczasowym szerokim znaczeniu, zarówno klasycznym, jak i współczesnym; tym samym eliminuję z pojęcia sztuki wszelki balast, pozostawiając to, co najcenniejsze – sztukę czystą.

Nieużytkowe w założeniu przeznaczenie i wymienione powyżej wartości odróżniają dzieło sztuki od innych wytworów pretendujących do tego miana. Pierwotna w zamiśle nieużytkowość jest pojęciem zrozumiałym – prawdziwe dzieło powstaje w celu zaspokojenia potrzeb wyższych i z tego w naturalny sposób wynikają konsekwencje, jakimi są wartości. I tak, wartości intelektualne, ze wszystkich jeszcze najbardziej obiektywne i bezwzględne, pojawiają się zawsze, gdy mamy do czynienia z najsłabiej choćby przemyślaną konstrukcją i ideą – różna może być tylko ich jakość oraz niezbędny wkład umysłu odbiorcy w poznanie. Nawet chlapanie farbami (bo przecież nie

sztuka ani nawet malarstwo) Pollocka czy słowne wyziewy (no bo nie literatura) Masłowskiej mają swoje skromne piętno szcążkowego intelektu, sytuując się nieco powyżej przypadkowych plam oleju na wodzie, baranich bobków czy stękania ludożerców przy ognisku; nie znaczy to jednak, że są sztuką – tak jak jajko, szczególnie zepsute, nie jest jeszcze sufletem. Myśl powinna w sposób oczywisty odzwierciedlać się w dziele – doskonałymi tego przykładami są prace Boscha, Wagnera, Witkacego, w których wkład umysłu w formę i treść jest bezsporny. Nieco trudniejsza do rozstrzygnięcia jest kwestia wartości estetycznych i etycznych dzieła sztuki, bowiem piękno i brzydota w estetyce są równie względne i subiektywne jak dobro i zło w etyce, i równie zmienne. Nie ma rzeczy, zjawisk, idei bezwzględnie i obiektywnie pięknych lub brzydkich, dobrych lub złych. Mogą posiadać powyższe wartości w danym czasie, okolicznościach, dla kogoś, ale w innym czasie, innych okolicznościach i dla kogoś innego, mogą te wartości utracić. Rzecz piękna w jednych okolicznościach, w innych może stać się brzydką, podobnie jak dobra może zostać złą. Można zatem stwierdzić, że piękno i brzydota występują łącznie, są cechami jednego fenomenu, podobnie jak dobro i zło, czyli, to co jest piękne, jednocześnie jest brzydkie, to co dobre, jednocześnie jest złe. Wenus z Willendorfu była piękna dla swojego paleolitycznego twórcy i zapewne dla wielu mu współczesnych, ale dla starożytnych Greków z pewnością nie stanowiłaby wzoru urody. Majakowski, opiewający i jednocześnie krytykujący rewolucję i jej następstwa, dla jednych był symbolem początku nowego, wspaniałego porządku świata, dla innych symbolem końca porządku starego, równie wspaniałego – ale jakież to doskonale teksty! A wiersze i czyny Wisławy Szymborskiej z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych – hańba to czy powód do chwały? Cała rzeczywistość to układ niezwykle względny, zależny od świadomości, która nie jest jednakowa u wszystkich. Dlatego nie ma rzeczy i zjawisk bezwzględnie i obiektywnie pięknych lub brzydkich, tak jak nie ma bezwzględnie i obiektywnie dobrych lub złych idei, myśli i czynów. Wartość w s z y s t k i e m u n a d a j e p o d m i o t – ona nie występuje sama z siebie, z natury rzeczy. Można zatem twierdzić, że wartości estetyczne i etyczne są subiektywne, relatywne i zmienne, dlatego ocena dzieła dokonana tylko na ich podstawie, z pominięciem jego idei i konstrukcji, mogłaby okazać się krzywdząca; wartości te muszą natomiast, razem z wartościami intelektualnymi, stanowić składowe dzieła, by było pełne i różniło się od przypadku, geściarstwa, pospolitej ładności, artystycznego rzemiosła czy czystego zdobnictwa. Natomiast, gdy wszystkie trzy wartości występują łącznie, do tego poparte są spójnym systemem pojęć, wiedzą, doświadczeniem, umiejętnościami, filozofią, logiką, to mamy do czynienia z geniuszem – twórczość da Vinci, Wagnera, Witkacego, a w pewnej części Beethovena, Chwistka i van Gogha jest tego przykładem.

Wielokrotnie w tym tekście użyłem pojęcia piękna. Jest ono na tyle wadliwe – subiektywne i względne, składa się na nie tyle kategorii, występujących samodzielnie lub łącznie, że niepodobna budować jego ścisłej teorii. Dla jednych istotą piękna jest doskonałość i umiar, dla innych np. wdzięk lub odpowiedniość. Petrarca stwierdził, że piękno „jest nie wiem czym”. Św. Tomasz z Akwinu podał definicję prostą i celną, mianowicie, że „Pięknem jest to, co się podoba, gdy jest postrzegane”, stwierdził także, iż obraz jest piękny, jeśli doskonale odtwarza rzecz, choćby była brzydka. W moim ujęciu, zbliżonym do Tomasza, ale szerszym, pięknem jest to, co podoba się, gdy jest odbierane przez zmysły i/lub badane przez umysł. Piękne zatem są nie tylko przedmioty, ale również słowa, dźwięki, zapachy, smaki, myśli, czyny, idee, zjawiska. Należy jednak pamiętać, że jest to pojęcie subiektywne i – co najważniejsze, że nie wszystko co piękne jest sztuką, z kolei sztuka nie musi być pięknem.

Sztukę odbieramy za pomocą intelektu i zmysłów. Stąd dwa sposoby percepcji dzieła: pierwszy to skupienie się na nim, kontemplacja, myśl, analiza, wysiłek umysłowy, poznanie; drugi to przeżywanie, marzenie, wprowadzenie się w nastrój. Są to sposoby rozłączne, nie można bowiem używać ich jednocześnie, ale można naprzemiennie, dlatego też są równoprawne i nie podlegają

wartościowaniu – istnieją przecież ludzie pozbawieni wrażliwości, ale jednostronnie sprawni intelektualnie, potrafiący zrozumieć zamysł i konstrukcję dzieła, oraz niezwykle wrażliwi, z ogromną wyobraźnią, marzyciele, pozbawieni większych zdolności do analitycznego i syntetycznego myślenia. Oba te niedostatki można jednak nadrabiać wiedzą. Natomiast w przypadku najbardziej pożądanym, niezwykle rzadkim, odbieramy dzieło na oba sposoby, na zmianę zmysłami i intelektem, wtedy dopiero w pełni doznając rozkoszy obcowania ze sztuką. Wielokrotnie też zdarza się, że za każdym razem, gdy mamy z dziełem styczność, odkrywamy w nim nowe jakości. Odkrywamy je również, gdy zdobywamy wiedzę i rozwijamy wrażliwość poprzez kontakt z różnymi dziedzinami sztuki i naturą.

Nie wątpię, że moje spojrzenie na sztukę (i nie tylko na nią) nie przypadnie do gustu tym, którzy nie lubią się uczyć, są myślowo niesamodzielni, politycznie poprawni, wystraszeni, pielęgnują w sobie stadny instynkt i w konsekwencji, jeśli akurat mają artystyczne aspiracje, bezkrytycznie zalewają świat swoimi (tutaj eufemizm) produktami, mniej lub bardziej przypadkowymi, wtórnymi i pozbawionymi wkładu umysłu. Faktem jest, że to oni stanowią większość, przeżywającą teraz swoją małą-wielką rewolucję bylejakości i nonsensu, ulotne chwile świetności. Jednak, jak wiemy z historii, masy mają siłę, ale nie mają rozumu, czyli podstawowego narzędzia każdego prawdziwego twórcy. Przecież rozum zbiorowy nie istnieje – wbrew arytmetyce rozumki się nie sumują w jeden nadrozum, co widać chociażby po rządach parlamentarnych, również ich średnia nie przytłacza ogromem. Rzecz jest w jakości, nie w ilości czy różnorodności. Kupa żwiru nie przyćmi urodą Kooh-i-Noora, banda senatorów nie zastąpi woli czynu i umysłu Cezara, a wszyscy dadaści (nawet z futurystami tudzież współczesnymi poetami niedoukami i dyslektykami) nie są warci jednego Staffa czy Herberta. W historii masy zostają na zawsze anonimową zbiorowością, co najwyżej mniej lub bardziej użytecznym narzędziem. Jak pisał francuski filozof epoki pozytywizmu i sceptyk Ernest Renan, gdy masy dochodzą do głosu, racjonalność życia obniża się, jednocześnie te upośledzone masy to gleba, na której wyrastają geniusze. Według niego, jedynym celem, do którego warto zmierzać, jest panowanie rozumu, przynależnego prawdziwym elitom. Tyle Renan. Ja tylko dodam, że w ostatecznym rozrachunku zawsze zwycięży indywidualność. Historię – także w sztuce, tworzą jednostki. I jest w tym jakaś nadzieja, pocieszenie i sprawiedliwość.

## APPENDIX

Istotne wyjaśnienie do tego tekstu i na przyszłość: używając terminów „filozofia” i „filozof”, nie mam na myśli podręcznikowej wiedzy, uniwersyteckiego dyplomu, a nawet znajomości poszczególnych systemów, bo to należy przede wszystkim do historyków i nauczycieli filozofii, kształconych na kierunku zwanym niesłusznie i na wyrost filozofią, a który w istocie jest jedynie historią filozofii. Przez filozofię rozumiem, podobnie jak chińscy mędrcy, refleksyjne i systematyczne rozmyślanie o życiu – czyli też o sztuce, która życiu towarzyszy. Wyznaję również pogląd, że celem filozofii nie jest znalezienie prawdy, rozwiązanie zagadek świata, bo to przecież byłby cel idealny, przez co niemożliwy do osiągnięcia. Za istotę filozofii, jej największą wartość i cel realny, uważam poszukiwanie prawdy, nieskończoną drogę do rozwiązania odwiecznych zagadek: natury istnienia i rzeczywistości, poznawalności prawdy, natury i hierarchii wartości. O s t a t e c z n y m zadaniem filozofa jest p r ó b a ujęcia zagadnień metafizycznych, epistemologicznych i aksjologicznych w spójny i logiczny system, a w konsekwencji z b l i ż e n i e filozofii do nauki. Zadanie potężne i trudne, niewykonalne – nawet jako próba – bez rozległej wiedzy matematyczno-przyrodniczej, bez znajomości semantyki i logiki, zadanie, którego ewentualną krytyką winni zajmować się inni filozofowie, zaś o p i s e m historycy filozofii. Zatem, wbrew powszechnemu i akademickiemu mniemaniu twierdzą uparcie, że filozof różni się od historyka filozofii, tak jak Juliusz Cezar od historyka starożytności, van Gogh od historyka sztuki, a Szekspir od historyka literatury. Stosując dalej to jakże logiczne i błyskotliwe

rozumowanie, absolwenta geografii nie uważam za podróżnika i odkrywcę, a absolwenta polonistyki za poetę. Jest oczywiste, że jedni ludzie d z i a ł a j ą , drudzy to jedynie o p i s u j ą , niewielu potrafi jedno i drugie.

Copyright by Tomasz Sobieraj, 2008. Kopiowanie całości lub części w jakiegokolwiek formie, bez pisemnej zgody autora zabronione